Rok III.

Nr. I. Nr. I.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 4 stycznia 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O poezji polskiéj XIXgo wieku

napisał

Dr. Adam Bełcikowski.

I.

Dwie kwestje zostały w tych czasach rzucone ludzkości i sprawiły takie wrażenie, jakie robi piorun upadający pod nasze nogi: kwestja socjalna i tak zwana teorja Darwina. Pierwszą odkładam zupełnie na bok, o drugiéj chcę słów parę powiedzieć.

Wzbudziła ona rozmaite uczucia w różnych obozach; materjaliści zobaczyli w niéj swój całkowity tryumf, idealistów napełniła ona zgrozą i obawą. I jedni i drudzy są w błędzie, dopuszczają się przesady. Doniosłość téj teorji nie jest tak wielka; nie może ona zniszczyć tego co jest: bytu i natury człowieka, jaką jest obecnie, jakikolwiek by mu początek nadawała. Naturalny wybór mniéj doskonałych organizmów, w skutek którego miał się wytworzyć tak wspaniały organizm ludzki, podobny jest do połączenia chemicznego. Różne żywioły łączą się w niém w jedno ciało, naturą swoją całkiém odmienne od swych pierwiastków; nikt nie powie n. p. że woda jest tém samém, co składające ją wodoród i kwasoród. Człowiek jest człowiekiem, odkąd posiada właściwą sobie naturę, władze umysłu i duszy, różniące go stanowczo od zwierzęcości; czém był przedtém, to nie należy do niego, ani do jego historji. Jakikolwiek byłby jego początek, nie może on go wstydzić, poniżać i spychać z zajmowanego stanowiska, ani też ta okoliczność nie zdolna mu odebrać jego przymiotów. Choćby twierdzenie Darwina było prawdą (a dotychczas podobno jest tylko hypotezą), nie może nam ubliżać, ale owszém można je uważać za zapowiedź i obietnicę coraz doskonalszéj świetności. Jeżeli widzimy dzisiaj, jak wielka zachodzi różnica między zwierzęcym a ludzkim stanem, czyż nie możemy sobie pomyśleć, do jakiéj dojść możemy doskonałości, przy warunkach jakich Opatrzność rozwojowi naszemu może udzielić gdziekolwiek, czy tu na ziemi, czy w sferach innych wszechświata.

Dla objaśnienia tego co powiedziałem, wezmę przykład. Czyż patrząc się na motyla z tęczowemi barwami na skrzydłach, myślimy o tém, że był kiedyś pełzającą po ziemi gąsiennicą, albo martwą i bezkształtną larwą? Cóż to ubliża genjuszowi Platona, który myślą wznosił się po nad światy, że w niemowlęctwie piastunka podnosiła go z ziemi ile razy upadł, albo czy to wstydzić może Kopernika, który obliczał drogę i ruch planet, że w dzieciństwie swojém nie wiedział, ile ma palców u ręki?

Do czegoż zmierza ten wstęp, na pozór może nie mający nic wspólnego z przedmiotem? Oto chciałem tylko powiedzieć, że najgrubsze nawet teorje materjalistyczne nie zdołają zniweczyć rzeczywistości tego faktu, że w człowieku jest jakaś iskra boża, jakaś strona duchowa, która istnieje i istnieć będzie, z jakiegokolwiek początku ród człowieczy byśmy wywodzili.

Ta iskra boża objawiła się najprzód na świecie w tém, co możnaby nazwać poczuciem poetyczném. Poświadcza to historja wszystkich narodów, bo oprócz właściwéj poezji także religja i filozofja (to jest to, co najwięcéj podnosi ducha ludzkiego) najprzód w formie poetycznéj się pojawiały. Słusznie od dawna uważano poezję za nauczycielkę wyprowadzającą ludzkość ze stanu dzikości, a podanie o Orfeuszu i Amfjonie nietylko jest pięknym mytem, ale także symbolem wielką prawdę w sobie zawierającym. Nie trzeba jednak szukać tak daleko. W czasach historycznych znany nam

jest dokładnie wpływ Homera na historję i cywilizację Grecji; Homer był twórcą jéj religji, jéj sztuki, w nim wojownicy jak Aleksander W. szukali swoich ideałów. Również dla wykształcenia narodowego potężne jest znaczenie takiego Szekspira lub Miltona w Anglji; ileż razy politycy, lordowie parlamentu angielskiego cytowali przy wnoszonych przez siebie bilach wiersze wielkiego dramaturga, uważając poetę za powagę nawet w rzeczach polityki. Ciekawą rzeczą byłoby także wybadać i roztrząsnąć, ile z dzisiejszéj swéj potęgi zawdzięczają Niemcy tak popularnemu u nich genjuszowi Getego i Szyllera. Wreszcie ileż już pokoleń na obu półkulach świata wykształciło się na Biblji, będącéj w znacznéj części utworem poetycznym.

U nas wyraźniejszy i głębszy wpływ literatury, szczególnie poezji, pokazuje się może po raz pierwszy w końcu XVIII wieku. W tym czasie, gdzie w atmosferze duchowéj górowała filozofja zagraniczna, a z drugiéj strony gdzie rozumy się wysilały na wynalezienie środków reformy i zbawienia kraju, była ona poezją racjonalną, dydaktyzm i satyra w niéj przeważały. Wywierała też ona wpływ na fakta wielkiéj wagi, popularyzowała pojęcia, które miały zmienić ustrój polityczny i podnieść naród. Weźmy największy z tych czasów fakt: konstytucję 3go maja. Jakie jéj główne zasady i cele? Rozszerzyć władzę królewską, zrównać stany, utworzyć z Polski państwo nowożytne. Weźmy teraz do ręki Satyry Krasickiego i Naruszewicza, satyryczne wiersze Trembeckiego, komedje Zabłockiego, naprzykład taką: „Sarmatyzm", komedję Niemcewicza: „Powrót posła..." jaka jest tendencja tych utworów, główna ich myśl? Taż sama w konstytucji 3 maja.

Ale większe zadanie miała jeszcze poezja XIXgo wieku. Polska jako państwo, jako naród niepodległy, upadła — poezja więc miała utrzymać jéj ducha narodowego, nie dać umierać przeszłości, zachować jéj pamięć i podnosić ku lepszéj przyszłości; miała jéj zastąpić wszystkie niemal dźwignie cywilizacji, które mają na swe usługi wolne narody. Stan polityczny i społeczny w zewnętrznych faktach nie istniał, został rozbity, a zadaniem téj poezji było: przenieść Polskę w duszę i w serce każdego Polaka, zarazem utrzymywać w nim wszystkie przymioty człowieczeństwa, kształcić go, rozwijać i uszlachetniać w nim uczucia. Cały skarbiec przeszłości i przyszłych dążeń miał się w niéj zamknąć. Duch polski ograniczony i ścieśniony w działaniu, miał się streścić i skupić w natchnieniu poetyczném, i poezja miała się stać całym majątkiem narodowym, być tém o czém poeta powiada:

O wieści gminna, ty arko przymierza,
Między dawnemi a młodszemi laty,
W tobie lud składa broń swego rycerza
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.

II.

Po grobowéj porozbiorowéj ciszy nastąpiły niedługo burzliwe lata napoleońskich wojen: legjony, księstwo Warszawskie, wyprawa na Moskwę. Upadek Napoleona, nowe nieszczęścia i kongres wiedeński wprowadziły znów naród w normalne koleje. Życie polityczne w ciasnych granicach konstytucji kongresowego królestwa nie mogło wystarczyć, trzeba je było zastąpić szerszém życiem duchowém. Takie, jakie dostało się w spadku po przeszłym wieku, nie było dostateczne, nie odpowiadało potrzebom. Trzeba było stworzyć jego nowe zasady i warunki. Ten poród nowego ducha odbył się w tak nazwanéj poezji romantycznéj.

Romantyczność była czémś obcém dla Polski, nie była uprawnioną z przeszłości ani historycznéj ani literackiéj, zadosyć jednak czyniła ówczesnym potrzebom. Za główne pierwiastki romantyczności można uważać: nową niemiecką filozofję i dążenie do narodowości. Filozofja ta, najidealniejsza ze wszystkich, uduchowiała jednostki, była więc taką, jakiéj potrzeba było Polsce, aby nad stan rzeczywisty podnieść umysły, nauczyć je, aby same w sobie znalazły siłę do oparcia się politycznym przeciwnościom, stawiły naprzeciw sile fizycznéj potęgę moralną i za pomocą téjże ratowały swą indywidualność narodową. Dążenia patrjotyczne, zawarte szczególnie w romantyczności niemieckiéj, tym więcéj jeszcze schodziły się z dążeniami i uczuciami Polaków.

Ta forma literacka i poetyczna walczenia z nieprzyjacielem, była także dogodną z téj strony, że musiała być dozwoloną tam, gdzie czyny albo opozycja na polu polityczném ściągały na siebie karę i prześladowania. Bo w istocie w duchu téj romantyczności tkwiła rewolucyjność tak u nas jak i wszędzie. Niemcy znalazły w niéj broń przeciw uciskowi Francuzów; Byron wyzywał do walki ludzki i boski porządek na ziemi; francuzki romantycyzm żył i oddychał idejami socjalnemi, zasianemi w grunt francuzki szczególnie przez wielką rewolucję.

Rozbudzenie ducha narodowości, wypielęgnowanie pragnienia wolności i niepodległości nie miało jednak być jedyném zadaniem polskiéj romantyki. I pod innemi względami wpłynęła ona stanowczo na cywilizację, na życie umysłowe. I tak najprzód stworzyła ona prawdziwe i wierne pojęcie przeszłości historycznéj. To było dotychczas niejasne, w poezji i literaturze przedstawiane i kreślone podług jakiegoś szablonu, pociągnięte werniksem kosmopolitycznego klasycyzmu. Przypomnijmy sobie ówczesną tragedję, owe Barbary, Ludgardy, owych Żółkiewskich i t. d.; postaciom tym brakuje najprzód prawdy życia, a zatém i prawdy historycznéj. Tak samo kreślił Koźmian w Ziemiaństwie obrazy ojczystéj natury i zwyczajów, patrząc na nie oczyma Wirgiljusza. Nawet Śpiewy historyczne Niemcewicza, który był patrjotą do głębi serca, nie mają na sobie narodowego i historycznego znamienia, i dla tego nie zdołały się przyjąć, nie stały się tém, na co je poeta przeznaczał: pieśniami narodu. Żadna z nich nie doszła do tego znaczenia, co nawet taka pieśń nieznajomego autora: „Wanda leży w naszéj ziemi" i t. d.

Jakże inaczéj przedstawiła się ta przeszłość w utworach pierwszych romantyków: w Zaleskim, Malczeskim, Goszczyńskim! Postacie ludowe Zaleskiego, jego Kozaki, hetmanowie Zaporożców, ukraińskie dziewczęta, są wprawdzie zidealizowaném, ale prawdziwém odbiciem tego co istniało. Typowemi postaciami, w których poznaje się naród, jakim był kiedyś, są także figury przez Malczeskiego stworzone: miecznik, wojewoda, a wreszcie Marja, idealny obraz kobiéty, jaki tylko na polskiéj ziemi mógł znaleść dla siebie pierwowzory. Toż samo należy powiedzieć o obrazie Ukrainy, skreślonym przez Goszczyńskiego w Zamku Kaniowskim. Ci poeci wskazali drogę, a za ich przykładem do tego zbioru postaci narodowych, do tych obrazów przeszłości, kreślonych z prawdą historyczną, przybywało później coraz więcéj, przybyły niektóre genjalniejszą ręką jeszcze kreślone, tak, że po półwiekowéj pracy poezja nasza może się poszczycić, że stworzyła charakter poetyczny naszych dziejów i wskrzesiła z martwych już niejednę z postaci minionéj przeszłości. Widoczną jest rzeczą, o ile przez to przysłużyła się i teraźniejszości, utrzymaniu i rozwojowi idei narodowéj, przez zachowanie jéj początków i rozmaitych jéj objawów w ciągu kilkuwiekowego istnienia. Można powiedzieć, że dzisiaj lepiéj czujemy, czém byli i jacy to byli nasi praojcowie, niźli ci ludzie żyjący n. p. przy końcu XVIII wieku, kiedy Polska istniała jeszcze w swéj odwiecznéj postaci, kiedy oni dotykali jeszcze bijącego pulsu Rzeczypospolitéj.

Życie uczuciowe otrzymało także nowy zwrot i nowe siły od téj powstającéj poezji. W tym kierunku najsil-

niejszy był wpływ największego z poetów polskich: Mickiewicza. Zrósł on się z ostatniemi latami naszych dziejów, był po części twórcą idei poruszających społeczeństwem, po części zaś najdoskonalszym ich wyobrazicielem. Duch jego rośnie i olbrzymieje w miarę ważności mających się odbyć wypadków, toruje im drogę, albo je obejmuje sobą.

Wpływ jego był od razu tak wielki, swą sławą napełnił tak prędko całą Polskę dla tego, że uderzył w najczulszą stronę narodu — w serce, spełniając wiernie to, co w wierszu „Romantyczność“ podaje za najlepszy sposób odgadnięcia tajemnic świata:

Miéj serce i patrzaj w serce.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TRZY MIESIĄCE.

Ze znalezionego rękopismu

wydał

Józef Narzymski.

Słówko od wydawcy.

Przeszłego lata stare grzechy a świeże kłopoty zmusiły sługę waszego zapakować kuferek, kupić sobie reisetaschę (śliczny wyraz) i jechać do kąpieli w B... Gdzie ten zakład leży? jak się na prawdę nazywa? wolno wam się domyślać, czytelnicy moi, ale ja to zamilczeć muszę... Powiem więc tylko, że nie są to wody pierwszorzędne, ale w ślicznem położone miejscu i dobrze urządzone. Nie mając zamówionego mieszkania, stanąłem w hotelu.

Dzień był szkaradny, drobniutki deszcz padał od rana, i choć było dość jeszcze wcześnie, o wyjściu myśleć nie mogłem. Odpocząwszy więc nieco na wygodnéj kanapie, zjadłszy niemiecki beafstyk i wypaliwszy cygaro, zabrałem się do wypakowania moich manatków i ułożenia ich jako tako.

Przyznam się państwu, że jestem pedant w tym względzie, i jeżeli panna Florentyna lubi pasjami konfitury z ananasów, to ja, także pasjami, lubię, żeby moje książki, papiery, szpargały były w porządku, żeby każdy świstek miał swoje miejsce.

Załatwiwszy się więc dość szybko z tą częścią moich bagaży, która okrywać miała cielesność moją, zabrałem się z większém daleko przejęciem do porządkowania zapasów, jakie dla umysłowości mojéj przywiozłem. (Przepraszam najmocniéj, ale należę do staréj szkoły, która w człowieku dwa pierwiastki przypuszcza).

Przysunąłem więc kuferek do biórka i otworzyłem klapę. Biórko było duże, ładne, pełne szufladek, schowań i skrytek nawet. Należało więc przejrzeć je i rozpatrzyć się w nowém państwie. Zacząłem zatem jednę po drugiéj wysuwać, próbując zamków, bo jestem wrogiem zacinających się zamków. Człowiek coś pisze, jest w werwie, potrzebuje notaty... chce otworzyć... trzask! zacina się... kręci, szarpie, gniewa się, irytuje, a tymczasem myśl się dobra ulatnia, praca przerywa i kilkadziesiąt wierszy przepada. Tu jednak wszystkie szufladki wysuwały się gładko, wszystkie zamki chodziły jak zegarki. Cieszyło mnie to, bo miléj siedzieć przed dobrém biórkiem, jak przed koszlawym stołem. Zresztą wszędzie czystość niemiecka, i nietylko żadnych papierków, ale kurzu nawet.. U jednéj przecież z szufladek nie było kluczyka. Podłożyłem scyzoryk sądząc, że ją zdołam odsunąć, była jednak widocznie zamkniętą. Zauważałem przecież, że wszystkie szufladki mają podobne kluczyki, wziąłem więc pierwszy lepszy i rzeczywiście bez trudności otworzyłem. Akuratność moja czy pedantyzm zostały wynagrodzone....

Na dnie jéj leżał jakiś zeszyt, którego pierwsza strona zbrudzona, pokreślona i poplamiona jakimś płynem brunatnym, a który mi się w pierwszéj chwili wydawał atramentem czerwonym, nie miała ani podpisu, ani tytułu...

— Ah! ktoś zapomniał pewnie rachunków codziennych, pomyślałem wyjmując ten szpargał. Bo widziałem ludzi, którzy u wód zwłaszcza zapisują każdy grosz... ku wiecznéj rzeczy pamiątce. Bez skrupułu odrzuciłem pierwszą kartkę i wyobraźcież sobie zdziwienie moje, gdym zobaczył wprawne choć niewyraźne pismo polskie. Kilka pierwszych wierszy przekonało mnie, że to pamiętnik jakiś... Zacząłem szybko kartki przewracać, chcąc wiedzieć, czy to długo się ciągnie, i czy gdzie nie ma nazwiska autora... W połowie zeszytu rękopism się urywał, a reszta kart była przesiąkła, a raczéj w jednę masę zlepiona i ciemno-brunatna. Zaledwie tu i owdzie kawałek białego papieru wystawał. Przypatrzywszy się dobrze spostrzegłem, że to krew tak przesiąkła tę połowę zeszytu i zlepiła karty... Krople jéj pojedyncze tu i owdzie świeciły się i na ostatnich zapisanych stronach... Zdziwiło mnie to niezmiernie... Ten pamiętnik po polsku pisany, tu, w tém biórku hotelowém... ta krew w takiéj ilości? Cóż to być może?... Zbrodnia?... czy samobójstwo?... czy nieszczęście jakie?...

Zostawiłem mój kuferek i biórko otwarte i rzuciwszy się na kanapę, czytałem co następuje:

Warszawa 13 marca 186...

Nigdy w życiu, nawet w szkołach, nie pisałem dziennika mych myśli i wrażeń i nie mogłem pojąć u innych téj manji... Możnaż opowiedzieć to, co się myśli, czuje, śni?... I po co?... Żeby się jutro śmiać z tego i rumienić?... Jaka pamiątka na starość? Ah! Starość i tak pamięta za wiele i za wiele żałować musi. A potém, nie lubię pisać... wolę robić... a raczéj wolę żyć... Żyć?... ah! od wczoraj to ironja w mych ustach.. bo... ale nie, raz wziąwszy pióro w rękę, trzeba zachować jakiś porządek... Otóż ja nie znoszący widoku atramentu, kupiłem dziś ogromny zeszyt w składzie piór i kajetów, i.. kto wié, czy go nie zapełnię...

Ale bo też dalibóg, położenie moje jest tak dziwaczne, oryginalne, powiedziałbym niemożliwe, że sam ciekaw jestem, jak się ono znosi i jak wpływa na człowieka.... Zresztą nie chcę, żeby mnie za warjata wzięto!...

Doprawdy! historja ciekawa i rzadka!... Mam lat 26, powiadają żem przystojny, zbudowany jestem z marmuru i stali, zdrów jak ryba, silny i pełen życia... co więcéj, mam matkę świętą jak św. Monika i którą czczę nad wszystko a kocham nad życie... mam siostrę podobną do lilji białéj, którą wielbię i którąm wykołysał jak własne dziecię, mam przyjaciół... Rówiennicy mnie lubią, starzy ludzie chętnie do mnie się zbliżają... Mam dobre... nie jedną zasługą uświetnione nazwisko i przeszło miljon złotych majątku... Nie mam długów, nie popełniłem żadnego haniebnego czynu... nie mam kryminalnego procesu... nie kocham się w żadnéj bezlito-

śnéj... żaden wyrzut sumienia mnie nie dręczy... i oto ja... Karol L.... (tu znów nazwisko zamilczeć muszę — przyp. Wyd.) za trzy miesiące niecałe, 12 czerwca, z ostatniém uderzeniem północy, muszę żyć przestać....

No! czy to nie oryginalne?.... I to muszę.... muszę... muszę... i nic na świecie mnie uratować, nic na jedną godzinę życia mego przedłużyć nie może...

Skazany na śmierć oczekuje łaski, suchotnik liczy na Kair lub Maderę i łudzi się nadzieją do ostatniéj chwili, wisielec może się oberwać, tonącego uratować mogą... mnie żadna ziemska ani nadziemska siła ocalić nie jest w stanie...

W oddaleniu trzechmiesięczném stoi fatum moje.... a ja wiem o tém, widzę to... i z każdą sekundą jestem bliżéj i bliżéj...

Żeby to przyjemnie być miało, nie powiem... Lubię niezwykłe sytuacje, ale to zbyt niezwykła... Dopiéro dobę jedną w tym stanie żyję... a czuję już zmęczenie... Życie, to piękna rzecz!... czuję to dziś więcéj, jak kiedy... Tchórzem nie jestem, a przecież, gdy spojrzę na zegar... smutno mi!... Jak dziecko, miałbym ochotę cofnąć skazówkę!..

....

Ile też ja naprawdę mam jeszcze życia przed sobą?... Obliczmy!... kto ma mało, rachować się powinien.... Dziś 13 marca, godzina 11 w nocy, minut 24, sekund... no mniejsza o sekundy!... A więc zostaje mi dni 90, minut trzydzieści sześć... teraz pięć tylko... Nie!... nie!... mylę się!... Marzec i maj mają po dni 31... dwa dni przybywa... Doprawdy!... mnie nie darmo nazywają dzieckiem szczęścia!... Zyskuję oto dwa dni!... A sądziłem że to prędzéj będzie... Dziwna rzecz... to odkrycie tak mnie ucieszyło!...

Czyż ja życie tak kocham?.... czyż się lękam śmierci?.... czy?.... tchórzem jestem?.... Ależ nie!.... przysięgam... czuję że nie, czuję, że we mnie płynie krew tych, co drżeć nie umieli... A zresztą i ja sam... w czasie téj burzy okropnéj na Oceanie... gdy znikła nadzieja ocalenia... byłem spokojny... Pamiętam jak dziś... wszystko w okół rozpaczało, jęczało, modliło się, płakało... przestano pracować... tylko stary kapitan był spokojny i jak zwykle żuł tabakę... Przyszedł do mnie i kładąc rękę na ramieniu rzekł:

— Jeune homme... vous êtes un brave!...

I czułem, że to świadectwo było słuszne... czułem, że prócz rzewnego pożegnania dla stron ukochanych, dla matki i siostry, nie było we mnie ani śladu przerażenia... że żaden muszkuł méj twarzy nie drżał... Patrzałem na szalejącą burzę... i zbliżającéj się śmierci stawiałem czoło...

A ileż to znów razy marzyłem z zapałem o śmierci na polu bitwy... ileż razy spałem jak zabity w wilję pojedynku?...

Czemuż więc dziś?... Nie! ja i dziś się nie lękam, ale tak iść zwolna, krok za krokiem i widzieć na końcu w dniu, w godzinie oznaczonéj... śmierć konieczną, nieuniknioną... samobójczą... zbliżać się do niéj ciągle... ciągle... co chwila... co sekunda... nie... to rzecz całkiém inna... I gdybym przynajmniéj był spłatał dobrego figla jakiego, popełnił coś, za coby tak drogo zapłacić było warto... gdybym był wysączył kielich ambrozji i doznał rozkoszy, za którą się chętnie życiem płaci... Gdybym mógł powiedzieć:

— Ginę... ale użyłem!...

Ale gdzież tam!... W mém położeniu to właśnie najgłupszego, że umieram bez powodu, żem czysty jak baranek i podobno intencją nawet nie zgrzeszyłem!

Z całą szczerością opowiem rzecz całą.

Kilku naszym dewotkom zdawało się, że między mną i panią Julją jest coś. Było w tém może prawdy troszeczkę, ale oboje byliśmy niewinni jak dwoje gołąbków. Tak ot! sobie... lubiliśmy się... pour passer le temps... Tymczasem stare baby zrobiły z tego romans... i coś doszło do męża...

Pewnego razu zasiedziałem się u niéj dłużéj nieco... wtém słychać dzwonek. Mąż!... Szalona kobiéta, tyranizowana znać przez tego Otella z pod Kalisza, każe mi gwałtem skryć się na balkonie. Za co? i po co?... Dalibóg nie wiem... Gniewałbym się na nią, gdybym ją podejrzywał, że mi to zrobić kazała dla tego tylko, by doznać wrażeń gwałtownych, ale wiem, że biedna zrobiła to ze strachu... Co do mnie wiedziałem że głupstwo robię, ale jakże odmówić kobiécie pięknéj, gdy załamując ręce woła:

— Zgubiona jestem!.... zabije mnie!.... ocal mnie pan!...

Człowiek by w przepaść skoczył... Wyszedłem więc na balkon, a ponieważ mój Otello także chciał balkon zrewidować, więc musiałem skoczyć na dół. Byłoby się wszystko najprozaiczniéj skończyło, gdyby... od czego to życie ludzkie zależy!... gdyby nie beczka do chwytania wody miękkiéj... Skacząc w ciemnéj nocy, zawadziłem o nią, przewróciłem, sam się potknąłem i z kieszeni od fraka wypadły mi bilety wizytowe...

Nie domyślając się jednak tego bynajmniéj, wróciłem do domu gwiżdżąc arję z Cyrulika Sewilskiego, bo gdzie noc i balkon, tam i Figaro być musi... i śmiejąc się po trochu i z męża i ze siebie, rzeczywiście bowiem djabeł wié, czemum ja skakał, a on dla czego tak uparcie chciał wmówić w siebie nieistniejące rogi...

Z Julją obiecywałem sobie uśmiać się doskonale z téj sceny, ale dać jéj pokój, widząc że zbyt tragicznie te rzeczy bierze i ma męża źle wychowanego.

Z tém moralném postanowieniem zasnąłem spokojnie. Kiedym około 10téj rano otworzył oczy i spojrzałem na zegarek, spostrzegłem przy łóżku na stoliku list zapieczętowany, ale bez stempla pocztowego i paczkę jakąś. Otóż co list w sobie mieścił;

„Odsyłam Panu jego bilety wizytowe. Wiesz Pan gdzie je znalazłem i pojmujesz, że dwóch nas na świecie za wiele. Jako od szlachcica spodziewam się po panu, że przyjmiesz wszelkie warunki, jakie honor mój postawić nakazuje. W przeciwnym razie osoba współwinna otrzyma zasłużoną karę, a znany jestem, że nie żartuję.“

Podpisano: Wirski.

— Masz do djabła! pomyślałem sobie... to awantura arabska dopiéro!... Mniejsza o pojedynek... ten Wirski dawno mnie nudził... ale ta biedna Julja!...

Widziałem, że wszelkie wyjaśnienie niepodobne... Przesadny strach téj kobiéty, moja dla niéj słabość, niepotrzebna ta ucieczka przez balkon, dawały wszelkie pozory winy...

Zaniepokoiłem się bardzo... Wirski miał opinję szalonego gwałtownika i wściekle zazdrosnego o żonę.. Wprawdzie ona całéj biedy strachem swym narobiła, ale teraz, szło o to tylko, żeby ją ocalić.

Namysł mój był więc krótki. Trudno wmówić w męża, żem dla zabawy skakał z balkonu. Zarzuciwszy coś na siebie, odpisałem obrażonemu mężowi:

„Za bilety dziękuję. Warunki do mnie należą. — Przyjmę przecież jakie Pan zechcesz, jeżeli dasz słowo honoru, że dziś ani nigdy osoba, którą Pan nazywasz współwinną, a która, słowem honoru ręczę, jest czysta

jak anioł, żadnéj przykrości nie dozna z powodu tego wypadku.“

W godzinę potém odebrałem lakoniczną odpowiedź: „Żądane słowo posyłam — o 1széj sekundanci moi będą u Pana. Liczę na honor szlachcica, że prawdziwy powód walki pozostanie tajemnicą...“

Zaspokojony tém o los kobiéty, posłałem po Alfreda i Leona.

Spotkali się na schodach i weszli razem.

— Śniadanie czy pojedynek? — zawołał Leon wesoło.

— Najprzód jedno a potém drugie...

— Z kimże znów u djabła.. o żadnéj awanturze nie wiem...

— Bo téż awantury nie było... Wirski mnie wyzwał...

— Ah!... ah!...

— Proszę was — rzekłem poważnie — nie domyślajcie się niczego. Daję wam słowo honoru uroczyste, że między mną i panią Julją nie było romansu...

— Więc?...

— Jest inny powód wyzwania... nie mogę wam powiedzieć jaki... Znacie mnie i możecie się spuścić na mnie... dałem słowo że tajemnicy dotrzymam i że przyjmę choćby najcięższe warunki. Dla tego udałem się do was... Przyjmujecie?...

Serdeczny uścisk obu rąk moich był jedyną odpowiedzią... Alfred był starszy odemnie znacznie, ale między nami zawiązała się prawie braterska przyjaźń. Leon, kolega mój szkolny i towarzysz podróży za granicę, kochał mnie z zaślepieniem, wynajdując pełno stron wyższych i niepospolitych przymiotów... Przyjaźń ta wzmogła się jeszcze od czasu, gdy poznał Izę...

— A więc — dodałem — żadnych wyjaśnień z jego świadkami... i co zaproponują, przyjmijcie... Wiecie, że umiem sobie dać radę... a teraz, pierwsza dochodzi... zostawiam was i czekam u Stępkowskiego. Tylko się spieszcie... djabelnie głodny jestem...

I rzeczywiście byłem tylko głodny... Raz zaspokojony o kobiétę, co do reszty byłem spokojny zupełnie... Cóż zwyczajniejszego jak takie spotkanie!...

U Stępkowskiego tłok był jak zwykle, ale ponieważ miałem tam pewne przywileje, więc kazałem sobie dać stolik osobny i zamówiwszy śniadanie, zacząłem bardzo uważnie czytać Kurjerka.

Spokój mój wydać się może przesadzonym. Był jednak naturalnym zupełnie. Kto w 26 roku stracił sen lub apetyt na myśl, że jutro ma się bić na śmierć?... Alboż się w tym wieku, przy pełni sił, wierzy w możność śmierci?... Zresztą strzelałem wybornie, biłem się na wszelką broń białą jak metr fechtunku, wypróbowałem już krew moją zimną i spokój. Nie myślałem zabijać Wirskiego, tylko ukarać, a żeby on miał zabić?... Allons donc!... quelle bêtise!...

W dobry kwadrans po mojém przybyciu, i gdy już sześć tuzinów ostryg stało na stole, wszedł Alfred dziwnie poważny.

— A Leon? — rzekłem robiąc mu miejsce.

— Leon został jeszcze z tamtymi — ja przyszedłem.

— O cóż idzie... wszak prosiłem... żebyście wszystko przyjęli...

— Wiesz ty, czego on chce?...

— No?...

— Pojedynku amerykańskiego...

— Jakto?... Na karabiny w boru... czy na noże w ciemnym pokoju?...

— Nie... Coś straszniejszego daleko... Macie ciągnąć losy... a kto czarną wyciągnie gałkę, zabije się sam w ciągu trzech miesięcy najdaléj.

Nic podobnego na myśl mi nie przyszło... Możliwość samobójstwa błysnęła przedemną, a do samobójstwa czułem wstręt wrodzony...

— Na to przystać nie mogliśmy — mówił daléj Alfred. — Powiedzieliśmy tym panom, że to nie walka, ale morderstwo nieuniknione jednego z dwóch... Odpowiedzieli, że właśnie pojedynek ma taki cel a nie inny, jeżeli obraza jest śmiertelną, że Wirski żadnéj broni w życiu w ręku nie miał, a ty masz sławę najlepszego strzelca i rębacza, że więc szansa byłaby nierówna... Nareszcie jeden z nich dodał: „Racz pan odnieść się do głównie interesowanego, on z pewnością przystanie...“

Słuchałem Alfreda i zrozumiałem znaczenie słów tych ostatnich... Czułem, że nic mnie nie zmuszało przyjmować szalonych warunków, ale co się stanie z Julją?... O Wirskiego gwałtownościach dziwy powiadano... Nie kochałem jéj... ona może była winna całéj awanturze, ale wreszcie stało się... Zawsze uważałem za podłość zgubić kobiétę i zostawić ją na łup a samemu wyjść cało... Wściekłemu człowiekowi potrzeba było ofiary... miałżem mu rzucać słabą kobiétę... do któréj zresztą miałem szczerą sympatję i słabość... A potém gdy on się nie lęka, ja mam się lękać?... Wszak szansa równa... więc on odważniejszy?... ah!...

Wszystkie te rozumowania przebiegały mi mózg szybko, a Alfred, widząc moje milczenie, sądził, że tylko małego poparcia trzeba, żebym ustąpił — mówił więc:

— Przyszedłem zatém, ale na honor i sumienie ci powiadam, że możesz takich warunków odmówić. Pojedynek jest zwyczajem i każdy kraj ma swoje. Bić się wedle form przyjętych... à la bonheur, choćby o wiatr co wieje, ale jakieś...

— A jednak, mój drogi — przerwałem — warunki te przyjąć trzeba. Proszę cię więc, idź i przyjmij wszystko... wierz mi, że to nie fanfaronada... przekonasz się kiedyś, że tak zrobić musiałem... Zresztą... au bout du compte... to pojedynek jak inny... No, idź i wracajcie... po wpół do drugiéj...

Alfred chciał coś jeszcze mówić, ale spojrzawszy na mnie, wzruszył ramionami i wstał.

— Ha!... jeżeli każesz...

— Proszę... à propos — dodałem, gdy już krok zrobił — więc za trzy miesiące? tak?...

— Taki termin wyznacza...

— Dobrze... jak mu się podoba... a przychodźcie!

Zostałem sam... Naokoło mnie wprawdzie był ruch i szum i gwar jak w ulu pszczelnym, i dym od cygar oczy wyżerał. Ale ja nie wiedziałem o tém. Wziąłem znów do ręki Kurjera, alem liter nie widział. Myślałem...

(Ciąg dalszy nastąpi).

O wykładzie literatury polskiéj.

Rozprawa ś. p.
Wincentego Pola.

Biorąc udział w tych wykładach, pragnąłbym światłą uwagę waszą zwrócić — nie tyle na ten lub ów okres w historji literatury naszéj, — jak raczéj na potrzeby i warunki naukowe historji literatury polskiéj, odnośnie do jéj wykładu.

Świadek tego, co się od kilkudziesięciu lat w narodzie działo — naglądałem pilnie za pochodem naukowego i artystycznego życia epoki twórczéj w przeciągu naszego wieku. Zapatruję się tedy na literaturę naszą z punktu naukowego doświadczenia, jakie w przeciągu pół wieku nabyłem.

Sposób mój zapatrywania się na ten przedmiot, złożyłem „w pamiętniku do literatury polskiéj XIX wieku" opowiedzianego dla szerszego koła słuchaczy. Odwołuję się tu do tego pamiętnika dla tego jedynie, abym miał prawo mówić o trudnościach i niedostatkach, na które każden natrafi w wykładzie historji literatury polskiéj.

* * *

Dla każdéj nauki i umiejętności, jest chwila, w któréj się wypada krytycznie zastanowić nad jéj pochodem, — w któréj wypada przerwaną nić naukowych badań podjąć, — niezdarne lub zużyte teorje wyrugować, — a podejmując to tylko, co próbę czasu przetrwało i okazało się żywotną prawdą, osadzić na nowéj podstawie, i na tym pokładzie budować daléj umiejętnie gmach.

Dla wykładu historji literatury polskiéj nadeszła obecnie taka chwila, w któréj duchowe skarby wieków, potrzeba podać narodowi ze stanowiska umiejętności, i którą trzeba przystępną uczynić dla wszystkich warstw społeczeństwa naszego, i upowszechnić ją nawet tam, gdzie jéj znajomość nie dochodziła dotąd, — bo literatura polska jest najdzielniejszą dźwignią humanitarności i jedynym środkiem nietylko uczłowieczenia, ale i znarodowienia tych warstw spółeczeństwa naszego, których dotąd duch polski nie objął, — a przecież dziś, gdzie do obywatelskiego życia powołani są wszyscy, ma każdy prawo do tych duchowych skarbów narodu — i słusznie, aby téż każdy znalazł w téj skarbnicy narodowéj część swoją.

Różnica między przeszłemi czasami, a dzisiejszemi, jest głównie ta, że aż po te czasy nierówny był wymiar wiedzy — i że aż dotąd posiadał każdy taką znajomość literatury polskiéj, jaką sobie sam o własnych siłach zdobył: — dziś trzeba zdobytą wiedzę oddać — i nie chodzi już o zdobycie jéj — ale o szafunek z jednéj strony — a z drugiéj o wzięcie i przyjęcie zgromadzonych i wydobytych skarbów. —

Czegóż potrzeba, abyśmy podołali powołaniu, czasu i wieku naszego?

Potrzeba tego, ażeby znajomość lub wiadomość literatury polskiéj podawana dotychczas ze stanowiska osobistych zapatrywań się na przedmiot, stała się umiejętnością krytyczną, opartą na niezbitych podstawach. — Potrzeba tego, aby wykład literatury polskiéj przestał być rutynowaną nauką, a stał się umiejętnością krytyczną.

Tu niech przybędzie w pomoc doświadczenie naukowe. Jak w innych gałęziach wiedzy ludzkiéj wyrobiły się nauki na umiejętności, tak téż musi i wykład literatury polskiéj podjąć tę samą pracę, na tych samych drogach.

Przykłady objaśnią to dokładnie.

Najwcześniéj postarała się o ten arsenał teologja, o ten arsenał mówię nauk i umiejętności pomocniczych, które ją postawiły na stopniu umiejętności, bo tu przewodniczyły prawdy Boże i jedność powszechnego Kościoła i prawd jego była zadaniem apostołującego Chrześcijaństwa.

Późniéj doszła do tego umiejętność prawa, gdzie pierwiastek prawodawstw pogańskich łamał się z prawodawstwem kościelném, podług którego kształciły się wszystkie prawodawstwa w nowożytnéj Europie. — Wszakże i tu (lubo od założenia pierwszych uniwersytetów wykładano umiejętność prawa) przyszło do tego już w naszym wieku, że oderwane wykłady pojedynczych prawodawstw okazały się niedostatecznemi i że wielostronna wiadomość prawodawstw i kodeksów prawnych z różnych narodów i wieków znalazła krytyczne skupienie swoje, — w encyklopedji umiejętności prawnych, która jako umiejętność jest odtąd kursem przygotowawczym dla prawników. — Encyklopedja umiejętności prawnych obejmuje całą jednę wielką gałęź wiedzy ludzkiéj, bo ta jest natura prac umysłowych, że po analizie następuje umiejętna synteza w dziejach umiejętności, która nowe tworzy gałęzie wiedzy, dla ogarnienia ogromu prac poprzedników swoich, i dla skupienia tego w syntetycznym wykładzie, co analiza gruntowną pracą wydobyła w przeciągu naukowych dziejów.

I filozofja poszła tą samą drogą i ona stworzyła umiejętność nową, encyklopedję nauk filozoficznych, historję filozofji i filozofję historji.

Tą samą drogą poszły i nauki przyrodnicze, około fizyki skupiły się nauki doświadczalne z jednéj strony, a z drugiéj oparły się na naukach pomocniczych i na matematycznych pewnikach; ta metoda utworzyła także umiejętność encyklopedji nauk przyrodniczych — poczynając od najprostszych prawd matematycznych a kończąc na wyżynach astronomji i taktyki.

Tą samą drogą poszła medycyna tworząc całe koło umiejętnosci nowych, całą pomocniczą encyklopedję umiejętności lekarskich — a to głównie tém, że szła ręka w rękę z umiejętnością rzeczy przyrodzonych, z nowemi odkryciami i nabytkami fizyki, która znowu na matematycznych pewnikach, lub na niezbitych doświadczeniach oparła nabytki swoje.

Najpóźniéj dobiła się historja tego umiejętnego krytycyzmu, który z niéj stworzył umiejętność; przyznać tu trzeba, że filozofja tu przodkowała historji na téj drodze, ale dopóki się nie stworzyła encyklopedja umiejętności pomocniczych historycznych, dopóty nie stała się historja umiejętnością krytyczną, opartą na niezbitych podstawach.

Przykłady te wystarczają na wyświecenie stanowiska, na którém pragnęlibyśmy widzieć, umiejętność wykładu literatury polskiéj postawioną.

To co z nauki może zrobić umiejętność, jest wcielenie w około wykładu literatury polskiéj umiejętności pomocniczych historji literatury polskiéj.

Więc krótko mówiąc, trzeba stworzyć encyklopedję nauk i umiejętności polskich, trzeba ją uważać za konieczny i nieodbicie potrzebny kurs przygotowawczy do wykładu historji literatury polskiéj, a wykład jéj, na tych podstawach oparty, wzniesie literaturę polską do rzędu umiejętności.

Prace i usiłowania na téj drodze nie są nowe. Koła nauki umiejętności polskich nie potrzeba stwarzać dopiero, ale potrzeba je skupić i oprzeć na nich wysład historji literatury polskiéj. — Jak filozofja dla historji powszechnéj była przewodniczącą gwiazdą i wniosła do niéj element krytyczny, tak może stać się przewodniczącą gwiazdą dla wykładu literatury historji pol-

skiéj, historja tego narodu, do koła któréj zgromadziło się już wiele nauk i umiejętności historycznych pomocniczych, które pomocniczemi będą i dla wykładu historji literatury polskiéj; — bo ostatecznie jest wykład literatury tylko zpotężonym wykładem dziejów narodu.

Jakież będą tedy te przedmioty, które jako pomocnicze nauki i umiejętności, trzeba wcielić do wykładu historji literatury polskiéj?

Pomocnicze nauki historji literatury są następne:

Estetyka, która ze stanowiska filozoficznego zapatruje się na utwory literatury, i odnosi je do pewnych prawideł w umiejętności i sztuce.

Bibliografja z całym swoim arsenałem.

Wszechstronna znajomość języka z różnych okresów kształcenia się jego i udoskonalenia.

Wszechstronna znajomość mowy polskiéj w odniesieniu do rodów mówiących tą mową, i różnic mowy, czyli djalektów.

Mowa trzyma się ziemi i ludzi, stale na niéj osiadłych, ztąd wywiązuje się potrzeba znajomości geografji i etnografji polskiéj w odniesieniu do mowy polskiéj, która jest matką rodzicielką piśmiennego języka polskiego.

Wszechstronna znajomość literatury niespisanéj naszego narodu, jako (to: pieśni gminnych, powieści, skazek, bajek.

W końcu zaś archeologja polska, któréj znajomość potrzebną jest koniecznie dla objaśnienia pojedynczych epok; nie potrzebuję zaś tu dodawać, że głównie znajomość dziejów narodowych musi być pokładem téj encyklopedji umiejętności polskiéj.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Historja literatury polskiéj dla młodzieży opowiedziana w krótkości przez Dr. Karola Mecherzyńskiego. Kraków, 1872. Nakładem Himmelblaua.

Treść dzieła odpowiada sumiennie tytułowi, a zarazem zamiarowi autora, który chciał skreślić całość w głównych obrazach, a poglądy i epoki illustrować wydatniejszemi postaciami, pomijając wiele szczegółów, ważnych może dla bibljografa, ale które w książce szkólnéj byłyby niepotrzebne. Musimy więc z góry zgodzić się na wskazaną metodę i powitać w tém dziele wyborną, dotąd najlepszą szkólną książkę do historji literatury. Jest to rzetelna praca, w któréj poznajemy doświadczonego profesora, autora dzieł o magistratach w Polsce, o historji wymowy i t. d. a wreszcie znakomitego pod względem poprawności języka tłomaczenia kroniki Długosza.

Jak o elementarzu, tak w ogóle o szkólnych książkach, jeżeli odpowiadają swojemu szczytnemu i rozległemu zadaniu, można powiedzieć, że „co małe, to wielkie.“ — Jakkolwiek bowiem książką szkólną trudno pozyskać rozgłos uczoności i oryginalnych źródłowych badań — niemniéj jednak dają one prawo tém większe do zasługi, im większy jest z nich pożytek. A jakież książki są dzisiaj dla nas potrzebniejsze, jeżeli nie szkólne? i któż może dostarczyć lepszych, jeżeli nie tacy, jak nas uczy autor, którzy mają za sobą lata pracy i studjów własnych!

Uznajemy więc wartość książki i polecamy ją wszelkim zakładom naukowym, i każdemu, kto sam się chce kształcić — tém śmieléj za to, jakkolwiek w obec niezaprzeczonéj powagi, zwrócimy uwagę, przy rozpoznaniu dzieła na niektóre pomniejsze usterki.

Pojęcie historji literatury postawione na wstępie, „przedstawia obraz duchowego życia narodu“ — zdaje nam się niepotrzebnie ścieśnioném, — gdyż nie tylko duchowego, ale całego życia obraz widzimy w literaturze.

Podział na siedm epok jest zgodny z naturą rzeczy, wolelibyśmy atoli poniekąd inne nazwy wzięte nie z dziejów politycznych, ale z dziejów saméjże litetatury i od jéj koryfeuszów, co byłoby może odpowiedniejsze samodzielnemu stanowisku historji literatury, jako umiejętności, która dopiero w przedstawieniu rzeczy łączność swoją z całością dziejów narodu wykazuje. Nadto epokę trzecią i czwartą połączylibyśmy w jednę, robiąc w niéj dwa oddziały. Uzasadnimy te zdania w dalszym toku.

W epoce pierwszéj „zawiązki lit. polsko-słowiańskiéj“ nie widzimy żadnéj wzmianki o rękopiśmie królo-dworskim — a z pomocą jego mógłby być nieco bliżéj przedstawiony §. 5 o prawach, ustawach i zwyczajach, a zarazem żywotny związek poezji z życiem narodu. Rękopism ten mamy przecież prawo uważać za wspólną słowiańską własność z téj epoki.

Wieki Piastów wolelibyśmy nazwać epoką kronikarsko-łacińską, i pragnęlibyśmy ściślejszego określenia jednego poglądu. Mówi autor (str. 10) o walce obcéj oświaty z pojęciami i żywiołami dawnego pogaństwa — czyli o oporze ludu. Zdaje nam się, że była to walka nie z oświatą, i towarzyszącą jéj religją, ale z tém co one przynosiły, t. j. z nowemi urządzeniami, które pozbawiały słowiański gmin własności i wolności a następnie i prawa do oświaty. Dla tego to literatura od samego początku nie jest powszechną narodową, ale szlachecko-hierarchiczną, z ludem nie ma styczności — aż dopiéro epoka Mickiewicza nawraca do tych ludowych źródeł.

Epokę jagiellońską i zygmuntowską połączylibyśmy w jedną epokę pierwszą właściwéj literatury, obejmującą oddział przejściowy powstania i drugi rozrostu jéj. Wszystkie bowiem stanowcze historyczne i literackie fakta należą do obu razem, i obie mają wspólne cechy. Do pierwszych należy założenie i wzrost akademji krakowskiéj, dokonanie unji, rozwój konstytucji szlacheckiéj — do drugich husytyzm i reformacja.

W przedstawieniu tych epok autor nie ukrywa prawdy, ocenia z należytą surowością scholastyczno-konfesyjny kierunek oświaty i wychowania, który przyprawiał o upadek znakomite instytucje, i w brew którym prawdziwa literatura nabiera siły i znaczenia. Za zasługę też poczytać należy, że autor obszerniéj zawsze zajmuje się rozwojem organu literatury t. j. języka. Radzibyśmy tylko mieć więcéj podniesiony ten rozłam, tę przepaść, jaka się tworzyła między panującemi stanami, a ludem pozostającym po za historją i po za literaturą.

Epokę Wazów i Augustów wolelibyśmy nazwać epoką upadku. W znamionach jéj, jak schlebianie możnym, makaronizm, anarchja smaku itd. autor wymienia z wielką bystrością nowe jedno znamię, czegośmy dotąd w żadnéj hist. lit. nie spotkali, — t. j. popularność ówczesnéj lichéj, a tak zgodnéj ze stanem narodu literatury. Działanie Jezuitów jest słusznie po-

tępione, a miło nam przytém stwierdzić, żeśmy znaleźli u szanownego autora to samo zdanie, któreśmy niedawno w Tygodniku*) uzasadniali, t. j. że z upadkiem reformacji stracili Jezuici rację bytu; więc musieli się chwytać wszelkich dróg byle się u władzy nad umysłami utrzymać — a za najstósowniejszą drogę uznali folgować złym skłonnościom tłumu szlacheckiego, utwierdzać go w narowach, ciemności i hipokrytycznéj dewocji. Z epoki téj mamy jednak i nader cenne utwory (wojna chocimska) w których przechowuje się zdrowa tradycja; otóż zdaje nam się, że należałoby podnieść różnicę tych utworów, które miały wówczas mir — a tych, które wówczas prawie nieznane, na boku wzrastały i dzisiaj dopiero przez badaczów i krytyków niejako rewindykacji się doczekały.

Wiek Stanisława Augusta i X. Warszawskiego wolelibyśmy nazwać epoką przebudzenia — a dzisiejszą odrodzenia. Przedstawienie ich jest jak i poprzednich pod każdym względem wzorowe — jeden tylko ogólnik radzibyśmy mieć wyjaśniony, lub opuszczony. O poezjach Słowackiego mówi autor, (str. 328) „że przedstawiają walkę dwóch potęg przeciwnych sobie w rozwoju ludzkości! Otóż nie ma uzasadnienia tego zdania, wskazania tych potęg i praktycznego okazania téj walki na dziełach Słowackiego.

Wreszcie radzibyśmy, aby przy każdéj epoce były podane opracowania, monografje, jak Przyborowskiego, Małeckiego, Siemieńskiego, Bełcikowskiego, Tarnowskiego, itd. — przydałoby to najwyżéj jeden arkusz druku, a uczyniło zadość jednemu z celów książki, t. j. żeby z pomocą niéj można i daléj się kształcić.

Wiemy, że gdyby to nie była zwięzła, szkólna książka, wówczas autor mając więcéj miejsca i swobody nie zostawiłby w niéj żadnéj niejasności i nicby nie pominął. Wskazane téż usterki nie uwłaczają w niczém wartości dzieła. Powiedzieliśmy zaś dla tego, że w książce szkólnéj najmniejsza bodaj niedokładność razi, a że pewni jesteśmy, iż książka ta doczeka się kilkakrotnych wydań, więc może te uwagi nasze, ułatwią szanownemu autorowi, obarczonemu zawsze wieloraką pracą, zrobienie pewnych poprawek w następnych wydaniach — bo taka książka zasługuje na to, żeby co rok w coraz wyborniejszém opracowaniu się pojawiała.

A. Szczepański.

Krzemieniec. — Przygody i wspomnienia studenta pierwszéj klasy przez Walentego Spektatora. Kraków 1873 nakład A. Nowoleckiego.

Narzekamy ciągle na brak książek pedagogicznych. Mało ich mamy, ale i te co są, niezawsze odpowiadają celowi, bo albo są nieprzystępne prawie dla pojęcia młodzi, albo zanadto suche, zgoła niepociągające ku sobie młodzieży. Bo téż nie łatwe to zadanie napisać książkę, którąby zarazem zajmowała i nauczała. A cóż dopiero powiedzieć o takiéj książce, która byłaby użyteczną dla ucznia i nauczyciela, a jednocześnie zadowolniła i zwykłego czytelnika. To już przechodzi nieraz możność nawet i bardzo uzdolnionego pedagoga. Ażeby odpowiedzieć takiemu zadaniu nie dość jest być dobrym pedagogiem; trzeba dobrze zdać i kochać serdecznie młodzież, trzeba się oswoić z usposobieniami nauczycieli, złe i dobre strony których, wyrabiają się pod wpływem tych lub owych okoliczności i stosunków, a nadto wszystko, trzeba jeszcze być utalentowanym pisarzem.

*) Szkoły i wychowanie w Polsce.

Należy się wdzięczność prawdziwa p. A. Nowoleckiemu, który i potrzebę takiego rodzaju książki odczuł, i autora najzupełniéj uzdolnionego do pokonania tego rodzaju trudności wynaleść zdołał

Pan Walenty Spektatór, autor wyżéj wymienionéj pracy, nie od dziśdnia już chlubnie znany w piśmiennictwie naszém. Doświadczony to pracownik na polu pedagogicznem, a zarazem wytrawiony literat i publicysta. Zarzucić by mu tylko można, że mało dziś pisze — bo tak pisać, jak on, tak piękną polszczyzną — nie wielu potrafi. Sposób opowiadania i traktowania rzeczy u p. Spektatora taki sympatyczny, tak pociągający, że każdy z czytelników z prawdziwą przyjemnością tę książkę do rąk weźmie, a nie oderwie się od niéj, aż nim do końca nie przeczyta.

Znajdujemy tu przedewszystkiém ciekawe opowiadanie wypadków z lat ubiegłych, umiejętnie skréślony obraz stosunków, zwyczajów i życia przed laty kilkudziesięciu już to w Warszawie, już na Wołyniu, ciekawe szczegóły o wielu postaciach krzemienieckich dziś już do historji należących, które na wdzięczność i chlubne wspomnienie u rodaków zasłużyły. A nadto wszystko krótki — ale dobrze opracowany obraz historyczny ziemi wołyńskiéj i samego Krzemieńca.

Co do pedagogiki, książka ta chciała w sposób praktyczny wystawiając rzeczywiste studenckie życie z żywych przykładów, jakby od niechcenia podać przyczyny i skutki takiego lub innego postępowania ucznia w klasie. Do takich wywodów szkoła krzemieniecka, jéj życie, jéj charakter, jéj historja. najlepiéj nadawały się. Szło tu widocznie o wykazanie, jakie było życie szkólne w dawniejszych czasach, i czyby tego życia na zasadach prawdziwie moralnych rozwijajacego się nie dało się dziś jeszcze obudzić i do szkoły wprowadzić. Autor często zwraca się do wybitniejszego okazania głównego przymiotu szkoły krzemienieckiéj: do owéj czci, jaką uczniowie mieli dla nauczyciela i gorącéj chęci do pracy i dobrych obyczajów, jakie nauczyciele umieli obudzić w uczniach. Często téż powtarza, że więcéj dobrego sprawiał tam duch sam dobry, dobra tradycja w szkole przechowywana, jak rygor i przepisy karne.

Na takich to mnjéj więcéj podstawach praktycznych opiera on swoje pedagogiczne tu i owdzie rozrzucone przepisy, powiadamy tu i owdzie rozrzucone, bo uważamy to za przymiot. — Gdyby te przepisy i te prawa w jednym lub więcéj rozdziałach ściśle naukowych zawarte były, książka ociężałaby i dla młodego umysłu nie mogłaby znaleść powabu, o który tu widocznie autor się starał.

Dla tego to, powtarzamy, nie tylko młodzieniec i nauczyciel, ale i zwykły czytelnik z przyjemnością tę książkę przeczytają, każdego z nich wielu rzeczy nauczyć ona może, nie jednego naprowadzi na drogę i rozjaśni kwestję, która mu się ciemną i zawiłą wydawała.

Takim nabytkiem zaprawdę literatura nasza poszczycić się może.

J. ze Ś.

Polscy artyści w Mnichowie.

Mnichów to wielka pracownia artystyczna, zaspakajająca estetyczne potrzeby wszystkich prawie ludów, z wyjątkiem może Francuzów; wszystkich warstw społecznych — od miljonowego lorda kupującego pyszne płótna w pyszniejszych często ramach, do ubogiego wyrobnika, ozdabiającego skromne ściany poddasza oeldruck'iem.

Między przedstawicielami polskiéj sztuki spotykamy tu zarówno stawiających pierwsze kroki — jak laureatów ozdobionych medalami, okrytych sławą, otoczonych uznaniem i liczną klientelą wielbicieli, stwierdzających swoją cześć hojném wyliczaniem talarów.

Mając zdać sprawę z całorocznéj ich działalności, jestem w kłopocie, od kogo zacząć, czy od słońc naszego artystycznego światka, od dowódzców naszéj załogi artystycznéj, czy też od skromnych gwiazdek, jaśniejących często blaskiem prawdziwego talentu — od szeregowców, z których wielu może nosi hetmańską buławę w ładownicy?...

Oku wpatrzonemu w światło słoneczne, ciemnemi, niedostrzegalnemi są drobne gwiazd światełka — myśli zgłębiającéj wielkie dzieła genjuszów, nędznemi i błahemi wydają się skromne czyny zwykłych pracowników. Zacznę więc od ostatnich, bo łaskawy czytelnik olśniony blaskiem pierwszych, nie zauważałby ich skromnych zasług.

W Akademji spotykamy pierwszy szczebel artystycznéj działalności, spotykamy pracę naukową, dającą dopiéro surowe materjały do budowy talentów; podług mnie, zadaniem akademji winno być tylko oddanie w moc artysty materjalnych środków wykonania, z których on, wedle siły swego talentu będzie korzystał, nadając im kierunek zależny od jego własnych uczuć i myśli. — Słysząc imiona Kaulbacha i Pillotego, stojące na czele tutejszéj akademji, wydaje się z daleka, iż ona rzeczywiście tworzy artystów, iż jéj to dopiéro autorytetem okryci ludzie są zaledwie godni naszego podziwu i uwielbienia. — Jednakże tak nie jest Akademja mnichowska jako zakład wychowawczy podlega ostréj krytyce, gdyż nie ma zdrowego pojęcia o swojém powołaniu — i kształceniem młodego pokolenia nie kieruje chęć dania mu we władanie technicznych trudności rysunku i malowania — lecz różne gusta i guściki, wypaczające zdrowe sztuki pojęcie, wszczepiające zamiłowanie w rozmaitych malarskich sztuczkach i manierze. Zasadnicze szkoły, dające podwaliny artystycznego wykształcenia — szkoły rysunku, stoją, śmiało można powiedzieć, nędznie. Szkoły malowania stoją rzeczywiście wysoko, chociaż i tam spotykamy owo fatalne kierowanie ucznia na koleje, któremi idzie gust profesora. W końcu są szkoły kompozycji, o których niech mi wolno będzie powiedzieć kilka moich uwag. W dzisiejszém pojmowaniu sztuki kompozycja nie podlega żadnym formułkom, żadne utarte komunały nie powinny kierować czynnością artysty: — dobra kompozycja to kompozycja, która we wszystkich częściach odpowiada założeniu artysty — któréj wszystkie szczegóły składają się na jak najjaśniejsze oddanie treści utworu sztuki. Jest to, zdaje mi się, jedyne określenie, które można dać w téj mierze. Kompozycji więc nie może nauczyć ani szkoła Pillotego, ani Ditza, ani Romberga, ani innych. Kompozycją jest właśnie to, co stanowi charakter — indywidualność artysty. Szkoła więc, na któréj czele stoi artysta mający powszechne, słuszne czy nie, uznanie, będący dla niéj autorytetem, więzi ducha uczniów w formach profesorskich gustów i usposobień, nadaje ich pracom jednaki charakter, jedne często motywa, po których poznajemy utwory wyszłe z pod téj lub owéj profesorskiéj feruły.

W szkole rysunku znajdują się pp.: Czetwertyński, Rosen, Motty, Dowgird i Witkiewicz; w szkole malowania: Maszyński, Żmigrodzki, Piątkowski, Jasiński, Łosik i Borkowski; w szkole kompozycji: Gierymski młodszy, Czachórski i Soldenhof u Pillotego; p. Alfred Roemer u Ramberga.

W przeszłym semestrze otrzymali medale za rysunek: pp. Maszyński, Chełmoński, Żmigrodzki i Grabowski. Nagrody te były uwieńczeniem ich talentu i pracy dokonanéj jeszcze w kraju, gdyż pobyt tych panów w szkole rysunku był tak krótkim, nauka w niéj tak chwiejną, zależną od usposobienia nauczyciela, iż w żadnym razie na jéj karb nie mogę położyć postępów naszych młodych pracowników. W szkole kompozycji otrzymali pierwsze nagrody pp. Gierymski młodszy i Czachórski za szkice na temat zadany przez Akademję, z kupca Weneckiego Szekspira.

W ogóle jako pewnik możemy zaznaczyć, iż Polacy odznaczają się tu zdolnościami i pracowitością. — Wejdźcie do szkoły rysunku a na jéj ścianach spotkacie imiona Prószkowskiego, Lipińskiego, Pillatego, Pileckiego, Maszyńskiego podpisane na rysunkach, wystawionych jako wzorowe.

Na czele malarzy naszych pracujących samodzielnie niezaprzeczenie stoją Brandt i Gierymski starszy, każdy wręcz sobie przeciwnego kierunku, a obadwaj czystéj wody artyści.

Brandt czuje poezję bojowego życia dawnéj Polski, odtwarza ją po swojemu, ale z ogromnym talentem. Charakter, ruch i życie to cechy, których nigdy jego utworom nie braknie, a razem z wspaniałym i silnym kolorytem, łączącym najjaskrawsze barwy w jednę harmonijną całość, stanowią wybitną stronę jego talentu. W Brandta utworach widzimy na każdym kroku demaskowanie się własnych jego uczuć, sympatji, widzimy, że poezja jego obrazów jest ta, którą on kocha — wiemy, jakie wrażenie chciał artysta na widzu uczynić, do jakich uczuć i myśli go pobudzić. Przedmioty, które on obiera dla swojéj pracy, są mu drogie; czuć, że artysta używa wszystkich sił, by widz patrząc na jego obrazy przejmował się zamięszaniem bitwy, czuł wielkość chwili dziejowéj, męztwa i dzielności tych ludzi, których ma przed sobą. Brandt chce, by to mówiło tak a nieinaczéj, i wszystko posłuszne woli artysty, układa się w kompozycję pięknych barw i linji, charakterystycznych postaci i ruchów; cudnych, acz czasem sztucznych, efektów światła.

Brandt nie bierze nic żywcem z natury — to, co on umieszcza w swoich obrazach jest kwintesencją charakteru naszego — są to przedmioty skupiające w sobie najwybitniejsze cechy naszéj natury i naszych ludzi. To nadaje jego obrazom charakter dziwnie odrębny od tego co nas tu otacza — odrazu z nich wieje obcym tutejszéj sferze duchem. On woli przesadzić, niż być bladym, niedopowiedzieć tego, co sam czuł. W końcu zanotujmy, że wielkie wypadki dziejowe, w których praojcowie występowali z szablą, mają dla niego same przez się znaczenie, — on czuje tę poezję, jaką do nich przywiązuje cały naród. Czarniecki przeprawiający się za Szwedami przez morze, Chodkiewicz pod Chocimem już wyszli z pod jego pędzla, a „Jan Sobieski pod Wiedniem“ przypomni zgromadzonemu na wystawę światu, iż dzięki polskiéj to szabli Turczyn i Tatarzyn, przybywający teraz jako gość do stolicy Habsburgów, nie jest w niéj gospodarzem...

Ot, na szerokiém polu, u podnóża urwiska, w bujnéj stepowéj trawie, kąpiąc się w gorących promieniach wschodzącego słońca, roztasowało się wojsko: górą ciągną się daleko dymy obozowiska, konie zbite w ta-

bun gryzą trawę, lub znużone stoją w zamyśleniu; a ludzie, jakby ich nigdy nic nie straszyło i straszyć nie miało, jakby nie mieli za sobą mogił a przed sobą nowych bojów i trudów, oddają się szczeréj i ochoczéj zabawie. Gwar, hałas, muzyka; swoboda i dzielność obozowego życia wieje na nas z całego obrazu. Ten ubrał się z węgierska, ów z tatarska, z polska, a wszyscy barwnie i strojno, butnie i fantastycznie, nie dbając o anachronizmy w modzie.

Obraz ten nosi wszystkie wyżéj wymienione cechy utworów Brandta. Zauważyłbym tylko nieszczęśliwie wybraną pozę jednego z dwóch tańczących, która nie pozwoliła artyście wydobyć z postaci ruchu, chociaż talent jego najbardziéj w téj stronie życia się lubuje.

Drugi obrazek Brandta przedstawiał małe, obdarte i zabłocone miasteczko z pod Lwowa. Nie wchodzę w szczegółowy rozbiór tego utworu, gdyż nie przedstawia do niego materjału.

Na sztandarze p. Gierymskiego czytamy: „prawda“ — prawda powszednia, nieubarwiona własnemi uczuciami, własną poezją artysty.

Natura nie zawsze swoim nastrojem harmonizuje z życiem człowieka — patrzy zimno i obojętnie na kłopoty ludzkiego świata: „....nam czy słońce przyświeca — czy giaur pali domy — Czatyrdachu tyś zawsze głuchy — nieruchomy“; tych słów Mickiewicza użyję na określenie artystycznéj działalności Gierymskiego. — On bierze naturę taką, jaką ona jest, nie ubarwia jéj swemi własnemi uczuciami, sympatjami, poezją, nie zdradza się w obrazie żadną inną tendencją, oprócz prawdy. Patrząc na jego utwory, każdy doznaje tych wrażeń, jakie nań robi natura w takiéj lub innéj porze dnia i roku... jednemu wiosna świeci promieniami szczęścia, świetnych nadziei i lubych wspomnień, drugiemu ciśnie łzę do oka i z piersi wyrywa smutne westchnienie... dla jednego chmurny wieczór jest wspomnieniem błogich chwil spędzonych u domowego ogniska — dla drugiego — tułaczéj tęsknoty i smutnych dni wygnania... Gierymski nie unosi się jednostronném zamiłowaniem pewnéj wyłącznéj chwili z życia natury — bierze wiosnę czy jesień — zachód czy południe i odtwarza je z prawdą zdumiewającą. On nie kocha się w samém pięknie pejzażu, nie szuka motywów przedstawiających zbiorowy charakter kraju, nie stara się napiętnować swego obrazu temi ogólnemi cechami naszéj ziemi, które każdy z nas w myśli nosi i radby widzieć niemi naznaczone wszystko, co ma Polskę przedstawiać. Gierymski bierze żywcem z natury motywa choćby najprostsze, najbardziéj obrane z uroku i charakteru i okrywa je tém czémś, co barwi poezją każdą okolicę, każdy ziemi kawałek — okrywa poezją pory dnia i roku, odtwarza z niesłychaną finezją to, co można nazwać wyrazem natury.

Stosunek p. Gierymskiego do ludzi jest dla nich ubliżający, jednak zawsze prawdziwy. Dla niego ludzie to są niezbędne akcesorja, bez których natura, w naszych przynajmniéj krajach, obyć się nie może. Nie kładzie więc na nich nacisku — nie tworzy ani typów skupiających w sobie pewien ogólny charakter ludu, ani postaci uwydatniających pewien stan moralny człowieka. Ludzie ze swoim światem przesuwają się wśród natury jak realne widma — raz są, znów znikają, a ona zawsze zostaje równie piękną i poetyczną...

Ot, obrazek zatytułowany „Nieprzyjemne odwiedziny“: Cicha i ciepła noc letnia okryła swoją szatą podwórze małego dworku, leżącego w ciemnéj gęstwi ogrodów; księżyc oblewa je swemi mglistemi promieniami, a światło wydostające się przez wycięte w okiennicach serduszka znamionuje życie — może tak spokojne i ciche jak ta noc. Na podwórze wjechało moskiewskie kozactwo; pozsiadało z koni — jedni wchodzą do dworku, drudzy włóczą się pod oknami -- konie zostawione wśród kwiatów, na kląbach i miękkich trawnikach. Natura oddana z całą prawdą — poezja nocy, nie taka jaką czuje lub lubi artysta — lecz taka jaką jest w naturze, zostawia widzowi swobodę doznawania takich wrażeń, jakieby nań w istocie podobna noc na wsi czyniła. Kozactwo nie gra tu ważnéj roli — nie napiętnował go niczém artysta: — są to postacie koni i jeźdźców, które ten tylko zrozumie, kto podobne sceny naocznie widział. Krytyka niemiecka wynosząc słusznie pod niebiosa wartość tego obrazu, najnaiwniéj w świecie baranie czapki i moskiewskie szyniele uważała za charakterystyczne cechy naszych powstańców. Nie ma tam żadnéj tendencji pokazania stosunku kozactwa do naszych dworów w czasach powstania. Ot przyjechali i pojadą — mogą być najgrzeczniejsi lub zbić nahajkami mieszkańców, dom zrabować i spalić... artyście nic do tego, również jak i téj pogodnéj i cichéj nocy.

(Dokończenie nastąpi).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

Teatr. Repertoar świątecznego tygodnia składał się z rzeczy już znanych, które powtarzano z niemałém powodzeniem. O nowéj zupełnie, oryginalnéj farsie scenicznéj p. Telesfora Swojskiego p. t. „Poznańczanie we Włoszech“ pisać będziemy obszerniéj po następném przedstawieniu. — Dnia 3go b. m. wystąpiła panna Wanda Bogdani-Kleczkowska, znakomita, w całém tego słowa znaczeniu, artystka, tak pod względem śpiewu, jak dramatycznéj akcji; wystąpi ona raz jeszcze. Występy jéj na tutejszéj niemieckiéj scenie były szeregiem tryumfów.

* * *

Gazeta Toruńska zaniepokojona słusznie niesnaskami wichrzącemi w łonie naszych społecznych stosunków, które miasto łagodzenia dziennikarstwo bardziéj jeszcze jątrzy, stawia myśl urządzenia dziennikarskiego sejmiku w Poznaniu. Zacnéj téj i patrjotycznéj myśli przyklasnąć tylko możemy. Daj Boże, abyśmy, zrzuciwszy z serca pychę i bezpodstawne uprzedzenia, podali sobie ręce w obec srożącego się wroga. To co nas dzieli, jest w gruncie rzeczy błahym tylko pozorem — to co nas łączyć powinno — kwestją bytu. Mimo tego, robione na wiosnę próby pojednania spełzły niestety na niczém. — Przeklęta ambicja!

* * *

Bibliografja bieżąca:

— **Bibljoteka Ordynacji Krasińskich.** Rok 1872. Kraków. Nakładem Ordyn. Krasińskich — zawiera Akta poselskie i korespondencje Franciszka Krasińskiego, 1558—1576, zebrane i opracowane przez Dra Ignacego Janickiego, wydane przez Władysława hr. Krasińskiego.

— **Bibljoteka Teatralna Lwowska**: Zeszyt XI. „Ak-

torka", komedja w pięciu aktach Aurelego Urbańskiego. Lwów. Nakładem Zelmana Igla.

— **Chlebowski** napisał rzecz o „Samuelu ze Skrzypny Twardowskim", w której prostuje kilka szczegółów biograficznych na podstawie dokumentów urzędowych albo też wniosków, wyciągniętych z pism samego poety. Dalej określił bliżej charakter Twardowskiego jako człowieka i jako pisarza, a chociażbyśmy się nie wszędzie z nim zgodzili, chętnie mu jednakże składamy podziękowanie za zwrócenie uwagi na mało znaną wśród publiczności osobistość. Pisząc o Twardowskim, jakkolwiek odmawia mu zupełnie talentu poetycznego a nawet zarzuca zupełny brak przekonań, pociągnięty był widocznie potrzebą jakąś wewnętrzną odświeżenia sobie i czytelnikom zamglonych rysów przeszłości. Uważa on Twardowskiego za najzdolniejszego przedstawiciela średniéj klasy szlacheckiéj, która odebrawszy mierne wychowanie, miewała czasami dobre popędy, czuła konieczność naprawy, nie posiadała atoli dostatecznéj siły i energji do przeprowadzenia jakiéjś reformy, — trzymała się więc klamki pańskiéj, odwdzięczając za chléb i łaski — pochlebstwem i kordem. Autor nie trafił jeszcze na właściwą metodę badań historyczno-literackich: raz usiłuje tłomaczyć tylko zjawiska dziejowe, jak to robi Henryk Taine, drugi raz staje na trybunale i feruje wyroki ze stanowiska pojęć dzisiejszych. Z téj chwiejności metody wynikł bezwątpienia zbyt surowy sąd o poetycznym nastroju Twardowskiego, który przecież miewał chwile prawdziwego uczucia, wyrażającego się w sposób obrazowy, malowniczy. Ztąd także poszło, że za mało autor wyciągnął wniosków z poematów Twardowskiego co do ówczesnych stosunków, pomijając np. prawie zupełnie obszerny, 8 tysięcy wierszy zawierający poemat p. n. „Pałac Leszczyńskich", gdzie wiele znajdujemy ciekawych szczegółów tyczących się miasta Poznania i ówczesnych jego mieszkańców. Tu również ma źródło zbyt pospieszny i nieumotywowany sąd o jednym z lepszych utworów Twardowskiego, o „Nowéj Paskwinie." (Op. Dom)

— **Dobieszewski, dr. Zyg.** Zdanie sprawy z dwuletniego urzędowania w wydziale Krajowym galicyjskim. Lwów. Nakładem autora.

— **„Dziennik Czas i Muzeum Narodowe** w Rapperswyl" przez założyciela tego zakładu. Zurych.

— **Gdzie przyszłość Polski?** Kilka słów do rodaków z powodu stuletniéj rocznicy pierwszego rozbioru Ojczyzny. Lwów. Nakładem autora. Główny skład w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego we Lwowie.

— **Krehowiecki X. A.** Dr. teol. „Chrystjanizm w stosunku do rodziny i kobiéty." Lwów, w księgarni Sayfartha i Czajkowskiego.

— **Luchs Hermann,** Dr. wydał w Wrocławiu u Trewendta: „Schlesische Fürstenbilder des Mittelalters." Są to chromolitografje, oraz częścią autograficznie, częścią sposobem litografji przedstawione grobowce Piastów szląskich.

— **Niemojewski, Ludwik.** „Filozof nad brzegami Oceanu Lodowatego." (Gaz. Warszawska).

— **Ochorowicz Juljan.** Wstęp i pogląd ogólny na filozofję pozytywną. Warszawa.

— **Prawo przed siłą,** czyli najłatwiejszy sposób poprawienia bytu narodowego i wyzwolenia się z pod jarzma i przemocy finansowéj judaizmu, z dodaniem odezwy do plemienia Izraela; nadto uwagi nad broszurą „Odpowiedź na obronę żydów" i odpowiedź p. H. Odyńcowi z Suwałk, na jego „Kwestję ludu starozakonnego w Polsce." Niebawem jednak po ukazaniu się téj broszury, została ona, jak donosi Czas, skonfiskowaną z nakazu prokuratorji sądowéj. Zabrano jéj blisko tysiąc egzemplarzy, zdaje się przeto, że w liczbie tysiąca była odbitą. (Dz. pol.).

— **Przyczynek do Historji Dyplomacji w Polsce,** 1566...1572, w Krakowie. Czcionkami drukarni „Czasu."

— **Radwański Jan:** „Założenie plantacji krakowskich przez Feliksa Radwańskiego a kończenie ich kosztem Rzeczypospolitéj Krakowskiéj przez Florjana Straszewskiego." Nakładem J. Radwańskiego w Krakowie. — Autor przypominając zasługi, jakie położył Feliks Radwański zakładając plantacje krakowskie, upomina się o należną temuż cześć i pamięć.

— **Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego.** Tom VII. Poznań. Nakładem Towarzystwa, zawiera: K. B. Hoffmana „O najdawniejszych grobowcach królów polskich"; — Dra Libelta „Psałterz Florjański i Biblja królowéj Zofji", dwa najdawniejsze pomniki piśmienne starożytnéj polszczyzny; — „Żywot i pisma Konst. Gaszyńskiego", ze wspomnień Stanisława Koźmiana; — „Konkurs hrabiego Cieszkowskiego", sprawozdanie z konkursowéj pracy przez Aug. Mosbacha; — „Tadeusz Kościuszko", dwa ustępy z żywota jego, opowiedział Leon Wegner; — „Co rozumieć o runach sławiańskich i o autentyczności napisów na mikorzyńskich kamieniach", napisał Dr. Ant. Małecki; — „Sprawozdanie z czynności Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego."

— **Starzeński, hr. L.** „Banita", dramat historyczny w pięciu aktach — z czasów Stefana Batorego. (Strzecha).

— **Szeliga, Marja.** „Hrabina Elodja", powieść. (Opiek. Dom.)

— **Valmont, W.:** „Szpieg pruski", romans angielski. (Op. Dom.)

— **Widman Karol** spisał podług dyktatów „Pamiętnik kapitana gwardji narodowéj w roku 1848", wydany we Lwowie nakładem własnym. (Tom I, część I i II). Początek pamiętnika tego, spisany w formie powieści, o sprawach czysto domowych autora, który „wiernie i uczciwie służył panom" potrzebującym usług jego, nie zawiera w sobie nic takiego, coby szerszą zająć mogło publiczność. Oprócz krótkiéj wzmianki o powstaniu kościuszkowskiém i o legjonach polskich za rządów Napoleona I, o rekrutującéj w Wiedniu ambasadzie francuzkiéj, o księciu Czartoryskim, generale ziem podolskich, — oprócz o intrygującéj na rzecz pełnomocnika książęcego z Flemingów księżnéj Czartoryskiéj, o któréj nawet Walery Kalinka wspomnieć nie może „bez żalu, że pierwsza połowa jéj życia tak mało do drugiéj była podobną", nie spotykamy się w tym początku z żadnym faktem, z żadną osobistością historyczną. Z wstępu domyślić się należy, iż autor opowiadając swoim czytelnikom, jak to się stało, że pomimo gorącéj chęci nie był ani w legjonach polskich, ani w powstaniu r. 1830, poda nam ciekawe szczegóły tak o tych perjodach naszego żywota narodowego, jak o roku 1848, w którym czynny brał udział. W toku swéj pracy zapowiada nam autor także niektóre ustępy z dziennika brata swego Tadeusza, odnoszące się do dziejów legjonów.

— **Wilkońska z L. Paulina:** „Wyższa od ambicji potęga. (Dzien. Mód).

— **Wiślicki, Adam:** „Encyklopedji podręcznéj: od „Bucce" do „Eschylus."

— **Zacharjasiewicz J.:** „Opinja parafjalna" powieść.

* * *

Rozmaitości:

Znany i zasłużony ekonomista pan Nagórny, krząta się około założenia w Kongresówce **Towarzystwa Geograficznego** na wzór podobnych Towarzystw istniejących już wszędzie za granicą i w Rosji. — Projekt prawie już gotowy ma być niezadługo przedstawionym do zatwierdzenia właściwéj władzy.

Towarzystwo Geograficzne dzielić się będzie na cztery wydziały: geograficzny. statystyczny, etnograficzny i historji naturalnéj.

* * *

Berło królów polskich ze słoniowéj kości z portretem Michała Korybuta, znajduje się obecnie w Berlinie na wystawie w Zeughausie. Berło to z innemi historycznemi pamiątkami nadesłała do Berlina niejaka pani Tiele Winckler.

Skrzynka do listów.

— p. A. Praun we Lwowie zechce odesłać do Księgarni Polskiéj wiadomy egzemplarz „Stuletniéj Niewoli.“

— p. M... S.. w Kyburgu nadeśle nam przy danéj sposobności 5 sgr. za pieśni Kochanowskiego i wyłożone portorjum.

Spis przedpłacicieli
na drugi rocznik dzieła zbiorowego
Stuletnia Niewola:

1. Adam Lew hr. Sołtan z Waplewa.......... 1 egz.
2. X. J. Czaykowski z Antwerpji.......... 1 „

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.